

Wspomnienia Ziemiańskie

Wstęp

Polacy lubią legendy. Mieliśmy *Wandę, co nie chciała Niemca, króla Popiela, Starą Baśń* Józefa Kraszewskiego oraz *Kłopoty Kacperka, góreckiego skrzata* Zofii Kossak. Dlaczego więc nie „oprawić” rodu Zaorskich w legendę, według Jana Zaorskiego z Glinnego Stoku?

Zaorscy przybyli na teren południowego Podlasia z okolic Ostrołęki, gdzie nad rzeką Orz znajdowały się dwa zaścianki o nazwie Zaorze. Nie jest pewnym, czy rzeczywiście było to pierwotne „gniazdo” nosicieli tego nazwiska, ponieważ jest jeszcze jedno Zaorze na Wołyniu.

Naturalnie to tyczy się tylko „korzenia”, z którego wyrósł ten ród. Reszta jest całkowitą prawdą, albowiem sam to widziałem i słyszałem lub podawali mi to Rodzice, Dziadkowie, starsi wujowie i inni członkowie rodziny. Fantazji tu nie ma. Poniżej jest sama czysta prawda.

Przypuszczalnie pierwszym Zaorskim z naszego „pnia rodzinnego”, który osiedlił się w pobliżu Parczewa był pochowany w 1841 roku na cmentarzu parafii parczewskiej w wieku 82 lat Szymon Zaorski, zapisany jako były dziedzic Wierzbówki.

Można sądzić, że właśnie Szymon skłonił Franciszka Zaorskiego do ulokowania się w rejonie Parczewa. A tenże – Franciszek – sam będąc kawalerem, wyswatał swego bratanka, Augusta Zaorskiego, z młodszą od niego o 20 lat, bardzo posazną, Seweryną Głuchowską. Za jej wielki posag został kupiony majątek Siemień o powierzchni 3195 mórg, w skład którego wchodziły wsie: Wierzchowiny, Tulniki i Brwinów. Niezależnie od tego, Franciszek Zaorski przepisał na bratanka Augusta majątki: Glinny Stok i Miłków.

August Zaorski, mój Pradziad, spłodził z Seweryną siedmioro dzieci: Józefinę (moją Babkę), Seweryna, Jana, Waclawa, Augustę, Eugenię i Zenobię. Wszystkie dzieci, poza Eugenią, która wyszła za mąż za poważnego naukowca, doktora medycyny, Waclawa Sobierańskiego, miały majątki ziemskie: Potoczek, Glinny Stok, Miłków, Byliny za Wisłą, Starą Wieś i Chmielów.

Po śmierci Augusta, Prababka Seweryna wyszła ponownie za mąż, za Henryka Ginczelewskiego, z którym miała tylko jedną córkę – Halinę. Mieszkali oni początkowo w Siemieniu, a potem w Drążkowie.

Zaorscy, moja rodzina po kądzieli, posiadali wiele majątków, które przekazywali sobie w dziedziczeniu lub obdarowywali się wzajemnie. Ja odziedziczyłem po nich na parczewskim cmentarzu, przy Bazylice Mniejszej – nawiedzanej niegdyś przez kardynała Karola Wojtyłę – pięć grobowców z dwudziestoma dwoma zmarłymi. Mam nad nimi pieczę nie tylko 1 listopada, ale przez cały rok. Uważam bowiem, że zawdzięczam im nie tylko życie, ale wszystkie miłe chwile, o których piszę poniżej.

Opisywanie zdarzeń, faktów i widoków występuje zwykle wtedy, gdy są one szczególnie: piękne lub straszne, a tym bardziej jeśli są o dużym formacie. Szarości i minimalności twórcy unikają. Przecież trzeba czytelników czymś zainteresować.

Podjąłem się więc raczej trudnego zadania. Wiadomo powszechnie, że po I wojnie światowej wiele majątków ziemskich uległo poważnym zniszczeniom. Zmieniły się jednostki płatnicze i ich wartość. Średnie i małe majątki bywały zadłużone, zarówno przez częste spłaty rodzinne, jak też pożyczki pobrane na podniesienie statusu majątków.

W latach 1933-35 wystąpił ogromny kryzys oświatowy, który poważnie dotknął Polskę. Wiele rodzin ziemiańskich nie potrafiło dostosować się do tych trudnych czasów, co miało niewątpliwy wpływ na życie towarzyskie.

Bale, wielkie polowania, huczne obchodzenie imienin i świąt bywały raczej rzadkością. Piszę tylko to, co widziały i słyszały moje oczy i uszy. Nadto wiem trochę z opowiadań starszych członków rodziny. Opisy moje są autentyczne, szczególnie dlatego, że w latach trzydziestych ubiegłego wieku, byłem dzieckiem. A więc to opis bez retuszu.

Życie towarzyskie ograniczyło się do niedziel i świąt, a goście bywali nieliczni. Rozmowy pań tyczyły się szczególnie zajęć domowych, robótek szydełkowych, przetworów, wiktuałów jedzeniowych, wprowadzeniu nowości w warzywnikach czy sadach i nauce dzieci, jeśli takie były w rodzinie. Naturalnie tyczyły się też odwiedzin w sąsiedzkich dworach.

Określenie „dobra gospodyni” odnosiło się do takiej pani domu, która miała rzeczywiście dobry smak swych przetworów. Panowie też naturalnie gaworzyli o osiągnięciach gospodarskich, czy kłopotach np. spłatach kredytów.

Jako rozrywki mężczyzn występowały karty, ale nie typu hazardowego. Grywano w brydża – cztery osoby, preferansa – trzy osoby, czasem w winta. Stawiano pasjanse – jedna osoba lub grano w szachy – dwie osoby.

Panie, szczególnie panny, winny posiadać jakiś talent, a więc umiejętność grania na instrumentach klawiszowych (fortepian czy pianino) lub na skrzypcach. Naturalnie występowały tzw. „ploteczki”: co, gdzie, kto i z kim robił, w tym lub w innym miejscu, ktoś ze znajomych pań czy panów.



Część pierwsza

Spostrzeżenia dziecięce

Ponieważ jestem już w poważnym wieku i stykałem się z kilkoma majątkami ziemskimi, postanowiłem, że wymienię trzy, dość ogólnikowo: Glinny Stok, Dębicę i Żminne.

Pokaniewo mam zamiar opisać raczej dokładniej z uwagi na to, że tam właśnie, świadomie jako dziecko odbierałem co się dzieje wokół mnie. Tam zapamiętałem pierwsze zjawiska: co, jak i gdzie następowało.

Miałem wtedy 4 czy 5 lat. A więc należało „cofnąć się o te 84 lata” wstecz. A wszystko z pamięci.

Siemień był naszym majątkiem rodzinnym. A więc o tym obiekcie będzie raczej sporo. Przed laty napisałem wspomnienia pt. „Siemień moja miłość”, było to raczej ujęcie sentymentalno-rodzinno-przyrodnicze. Zamieszczone są one w „Radzyńskim Roczniku Humanistycznym” z roku 2010, tom 8.

W następnych wspomnieniach siemieńskich pt. „Dwie opowieści siemieńskie”, zamieściłem jakby drugą część tych wspomnień z roku 2010 i dodałem jeszcze opowiadanie o kapliczce św. Jana Nepomucena. Materiał ukazał się w tomie 11 z roku 2013.

Oba opowiadania zostały wzbogacone fotografiami z albumu rodzinnego. Na początku są dwie fotografie: Mietek młody w szapokłaku dziadka Grodzickiego i Mietek już stary w cylindrze szarego koloru. Dalej są zdjęcia rodzinne z wraz opisami.

O Siemieniu będzie więc dość dużo, ale najpierw:

Ab ovo

Postanowiłem podać pewne zasady zachowań ludzi przebywającymi tam, czyli ziemian. Ponieważ tak mnie jako dziecko uczono, podaję na początku, to co chyba najważniejsze: zachowania mieszkańców i miejsca gdzie mieszkali. Było przyjęte, że są trzy słowa, jakby święte, a mianowicie „Proszę”, „Dziękuję” i „Przepraszam”. Na przykład, gdy wstawano się od stołu, zawsze winno się powiedzieć – „Dziękuję”. Zawsze też, gdy ktoś coś podawał, powinien powiedzieć – „Dziękuję”. Zawsze gdy zapraszaliśmy kogoś, czy to do wejścia czy do wykonania czegoś tam, należało powiedzieć – „Proszę”. Tak samo winno się używać słowa „Przepraszam”, gdy coś nam nie wyszło.

Czytelnikowi może wydać się bzdurą takie pouczenie, ale zauważam, że właśnie obecnie te trzy słowa są pomijane. Określam to jako delikatnie mówiąc brak: savoir-vivru lub po polsku mówiąc - brak dobrego wychowania. A może po prostu chamstwo!

Następnym ważnym zachowaniem w majątkach ziemiańskich było jedzenie obiadu. Było tak ustalone, że obiad jadło się o koło godziny 12 lub najdalej 12:30. Nie było drugiego śniadania. Za to zawsze podawano podwieczorki. Często były one raczej nie posiłkiem, lecz zjedzeniem czegoś słodkiego. Dorośli pijali kawę lub herbatę i dość często były podawane do

tęgo jakieś konfitury, czy ciasto. Przestrzegano też bardzo surowo, aby umyć ręce przed jedzeniem, a dotyczyło to głównie dzieci.

Przy jedzeniu dzieci nie powinny nic mówić, albo prawie nic, nawet gdy im pozwolono na to. To był okres: „Dzieci i ryby głosu nie mają”.

Gdy dziecko chciało wstać od stołu, musiało poprosić o zezwolenie rodziców lub kogoś starszego. Nie wolno było też krzyżeć, czyli po prostu wrzeszczeć. W domu, czyli przy rodzicach, czy dziadkach, należało mówić czystą polszczyzną. Obecnie są różne skrótów, czy bardzo modne słowo z języka niemieckiego. W rodzinach ziemiańskich takie wypowiedzi były krytykowane przez starszych.

Wszystkie majątki, które znałem oświetlane było przez lampy naftowe. Elektryczność była tylko w miastach, i to tych dużych. Były też zawsze co najmniej dwie służące: kucharka i pokojówka. Czasem były też tzw. „podkuchenne”, czyli pomocnice kucharki. Podłogi były przeważnie z desek i pastowało się je, a potem były froterowane na błysk.

We wszystkich majątkach, które znałem, były dwa wejścia. Od frontu czyli na tzw. „pokoje”. Przeważnie były tam ganki, przez które wchodziło się do środka; drewniane, czasem obrobione winem ozdobnym i pachnącym, jak np. w Siemieniu przy naszym, czyli Bielskich. Bywały też ganki z bocznymi kolumnami lub bez takowych ozdób.

Wejścia do kuchni bywały przeważnie bezpośrednio z dworu, ale właśnie w Pokaniewie był też ganek do wejścia kuchennego.

Drugim zasadniczym elementem, naturalnie związanym z Bożym Narodzeniem były choinki, szczególnie tam gdzie były dzieci, a więc w Pokaniewie, Siemieniu i Glinnym Stoku. We wszystkich znanych mi dworach były barometry, widać było po nich, że zmiany pogody miały duży wpływ na gospodarkę.

Można by zapytać o Żydów i Cyganów. W znanych mi dworach poza Siemieniem, o czym niżej, w ogóle nie występowali takowi. Gdy przyszli, stali tylko w kuchni. Również zwierzęta, koty i psy bywały w każdym dworze. Z tym, że te ostatnie bywały przeważnie tylko na tzw. „podwórzu”, czyli uwiązane na łańcuchach przy tzw. budach (to były specjalne jakby małe chatki, okrywane często na zimę słomą i wysłane wewnątrz też słomą). Takie psy spuszczone były na noc z łańcuchów i biegały przy dworach, po ogrodzie lub parku. Rzadko bywało, aby takie psy biegały po za terenem dworskim. Jakoś były tak nauczone. W Siemieniu było trochę inaczej, o czym będzie niżej. O ile dobrze wiem, zawsze psy i koty były dobrze widziane i mieszkańcy dworów lubili je. Koty biegały po wnętrzu dworu, jadły wyłącznie w kuchni.

Tak zwanych uczt nie bywało. To mogło być w wielkich bogatych majątkach. W żadnym, ze znanych mi dworów, nie napotkałem wesela. Odwiedziny bywały, szczególnie przez sąsiadów i to przeważnie w niedzielę lub święta, takie jak Boże Narodzenie czy Wielkanoc. Śmieć mi się chce, gdy obecnie w nowych mieszkaniach właściciele mówią o „salonie”. To jest trochę większy pokój. Prawdziwe salony we dworach, to były wielkie na kilkanaście lub więcej metrów kwadratowych pokoje z kilkoma oknami, bardzo często z fortepianem, bez stołu. Za to pokój jadalny, był też wielki, ale ze stołem na co najmniej dziesięć lub znacznie więcej osób; z krzesłami przy tym stole. W takich salonach bywały jakieś szczególnie ozdobne meble, w jadalniach czasem ozdobne kredensy.

Pisząc o dworach ogólnie, wspominałem o lampach naftowych, barometrach i gankach. Całe to moje opowiadanie jest trochę bałaganiarskie. Trudno, musi się z tym

czytelnik pogodzić, bo o ziemiaństwie, a szczególnie o majątkach w/w mogę tak bez końca pisać. To moje dziecinne i młodzieńcze życie.

A więc były czasem specjalne służące, jak to mawiano – dziewczyny od dbania właśnie o lampy. Należało uzupełniać zbiorniki z naftą, czyścić szkła, przycinać knoty, a jeśli były jakieś zakopcone, to należało je przetrzeć. Dalszymi urządzeniami, które bywały we wszystkich znanych mi dworach były centryfugi, czyli ręcznie napędzane maszyny oddzielające od wydojonego mleka śmietanę, z której później robiono masło, w tak zwanych masielnicach drewnianych. Zrobienie dobrego masła, to nie była łatwa sprawa. Śmietana winna być troszkę podgrzana, ale nie za dużo, aby masła nie „zarobić”.

Maślanka, czyli pozostałość po zrobieniu masła, była bardzo smaczna. Lekki smak kwaskowaty, zapach masła i lekko chłodna. Wiele osób ze dworów bardzo lubiło maślanke.

We dworach dość często podawano latem na kolację zsiadłe mleko, jeśli były do tego młode ziemniaki, zwane ówczesnie kartoflami, polane roztopionym masłem z koperkiem, uważano to za coś bardzo dobrego. Gdy byłem dzieckiem, jadłem zamiast zsiadłego mleka tylko śmietanę zebraną, a nie odwirowaną, z mleka które było trzymane w piwnicy, aby miało odpowiedni „chłodek”.

Ciągle siedzę w tych wszystkich dworach, gdzie przecież nie było w tamtych czasach lodówek i wszelkie produkty, raz aby nie wyschły lub nie psuły się, a także dlatego, aby miały taki właśnie odpowiedni „chłodny smak”, były trzymane w piwnicach.

Wspominałem też ganki. Należy tu podnieść, że latem gości witano i żegnano właśnie na gankach, a zimą w przedpokojach lub holach. Taki był na przykład w Glinnym Stoku. Ja osobiście, choć mamy obecnie małe dwupokojowe mieszkanie, to w korytarzu będącym niby przedpokojem, czynię ręką gest zapraszający i mówię – proszę na pokoje.

Życie w w/w majątkach płynęło pogodnie i spokojnie, bez jakichś burz.



Glinny Stok

Był to niewielki majątek, około 200 ha. Zniszczony bardzo przez I wojnę. Ale mimo tego właściciele – Jan i Halina Zaorscy potrafili postawić go na dobrym poziomie.

Ciotka Halina założyła nowoczesny warzywnik oraz sad i były z tego pewne korzyści. Wuj Jan Zaorski w połowie lat trzydziestych został plenipotentem dużego, przemysłowego sąsiedniego majątku - Milanowa, hrabiego Żółtowskiego.



Dwór w Glinnym, jak go skrótowo w rodzinie nazywano, był dość duży. Miał chyba 8 czy 9 pokoi i hol, w tym wielki salon i pokój jadalny oraz kuchnię w piwnicy, gdzie była również pompa dostarczająca wodę, zarówno spożywczą, jak też do mycia się. Potrawy były dostarczane wewnętrzną, ręczną windą, do kredensu, a następnie do jadalnego.

Był tam piękny salon z fortepianem, na którym grali zarówno sami właściciele, jak też moi Rodzice, ewentualnie ktoś z gości. To był wybitnie muzykalny dom. Właściciel Jan Zaorski był członkiem Towarzystwa Ziemiańskiego, a jego żona Halina należała do Towarzystwa Ziemianek.

Tam jadłem pierwszy raz w życiu przed wojną sękacz zwany zresztą bankuchem. W Glinnym Stoku była przed wojną maszynka do robienia lodów domowych. Było dwoje rezydentów zatrudnionych jako pomoc (rządca i klucznica), chleb na stole nie był krajany, lecz każdy musiał go sobie wziąć w rękę i krajać.

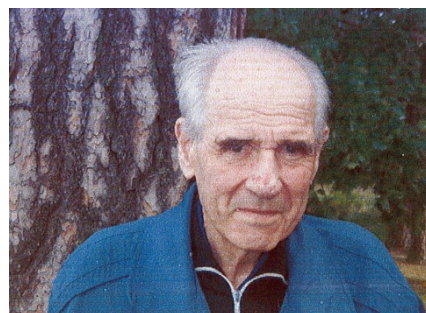
Poza rodziną z Siemienia, czy Warszawy, bywali tam goście z sąsiednich majątków, a także wyżej usytuowani oficjaliści z Milanowa. W Glinnym Stoku zapoznałem się z cudowną książeczką dla dzieci Zofii Kossak pt. „Kłopoty Kacperka, góreckiego skrzata”. To brylant najwyższego szlif. Kupiłem ją po wojnie dla swych dzieci i zapoznały się z nią nawet moje wnuki.

Dzieci grały w piłkę lub krykieta, a nawet strzelały z wiatrówek. Czasami panowie grali w brydża, a panie spacerowały po parku.

Gdy odwiedziny, szczególnie z dziećmi, trafiły się w dzień powszedni, ciotka Halina prowadziła je do ogrodu warzywnego, który był jej dumą i pokazywała jak wykonuje swoje prace ogrodnicze.

To był wspaniały, pogodny i pełen godności dom ziemiański.

Po II wojnie dzieci wujostwa Zaorskich miały bardzo poważne kłopoty z dostaniem się na studia z racji pochodzenia. Ale na ich piątkę, czworo ukończyło wyższe studia z tytułami doktorskimi oraz docenturą, a jeden najstarszy Tadeusz, otrzymał jako jedyny Polak tytuł „Komandora chmielu” przyznany przez kapitułę w Strasburgu.



Dębica

Majątek ten był raczej niewielki, znajdował się w pobliżu Radzyna Podlaskiego. Poprzedni właściciel o dość szczególnym imieniu Ewaryst miał trzech synów. Dwóch z nich

Wincenty i Tadeusz kształcili się w ówczesnym Dorpadzie (obecnie miasto Tartu w Estonii). Byli to ludzie o dużej dozie inteligencji, ale bez wycucia ekonomicznego.

Obaj utracili w okresie międzywojennym swe majątki. Tadeusz, Jakubowice pod Lublinem, a Wincenty (to drugi mąż mojej Babki) Pokaniewo na Białostocczyźnie. Trzeci syn Czesław mieszkał z dwoma siostrami w tejże Dębicy i zajmował się tylko konną jazdą po okolicy. Dwór był otoczony ładnym, strzyżonym parkiem. Hodowano tam pawie, wstrętne krzyżące, nocowały one na dachu dworu przy kominach.

Majątkiem zarządzała panna Janina Grodzicka. Życia towarzyskiego prawie tam nie było. Raz lub dwa razy do roku przyjeżdżaliśmy my, Bielscy, z naszą Babką Józefiną, która była żoną Wincentego. Nocowaliśmy tam w pokojach gościnnych na piętrze dość dużego, ale ponurego dworu. Pokoje te były w trzech kolorach: fioletowym, zielonym i różowym.

Ciekawostką życia jakby towarzyskiego był p. Czesław Grodzicki. Choć gospodarzo nie liczył się zupełnie, ale w jadalnym przy stole siedział w szczycie i przeważnie nic nie mówił. Przed zajęciem miejsc, witał się ze wszystkimi za rękę, nawet z nami dziećmi (mieliśmy w tym okresie po 7-11 lat). Co prawda nam dzieciom podawał tylko dwa palce. Nie wiem czy miał przykurcz pozostałych, czy tak traktował nas, dzieci.

Gdy wszyscy zasiedli do stołu, lokaj w białych rękawiczkach wnosił wazę, stawiał przed p. Czesławem i nalewał mu srebrną łyżką wazową dwa czerpaki kluseczek na mleku. Pozostali domownicy siedzieli milcząco i czekali aż p. Czesław zje. Następnie lokaj przynosił pozostałe potrawy w tym jakąś zupę i drugie danie oraz deser.

Jako dzieci dostawaliśmy podarunek w postaci kilku piór pawich.



Żminne

To był niewielki majątek chyba około 250 ha, licząc od Siemienia leżał po drugiej stronie rzeki Tyśmienicy. Właściciele tegoż, państwo Łubkowscy, postąpili podobnie jak Bolesław Krzywousty z Polską, czyli podzielili majątek na 5 części. Każdy z tych mająteczków miał więc około 50 ha. To stanowczo za mało aby można było jakoś „po pańsku” na tym gospodarować. Dwór rodziców objęli pp. Zajączkowscy, którzy mieli zacięcie ziemiańskie i dokupowali po trochu ziemię, co doprowadziło do zabrania tegoż mająteczku – około 60 ha, na Skarb Państwa w 1944 r.

Nie mniej nim to nastąpiło u pp. Zajączkowskich wiodło się nieźle, dlatego, że postanowili oni otworzyć tzw. „pensjonat”.

Trzeba przyznać, że wynajmowali pokoje tylko ludziom na odpowiednim poziomie. Z wojskowych nikt niżej podpułkownika, a z cywilnych niżej prof. lub docenta, nie mógł liczyć na zamieszkanie latem w Żminnym.

Przestrzegano tam zasad savoir-vivru w każdym calu, poczynając od usadowienia gości przy stole, jak też prowadzenia rozmów, co do tematu oraz natężenia głosu. Nie mówiąc już o żartach. W szczycie stołu nie siedziała nawet pani Jadwiga Zajączkowska – właścicielka, lecz jej ciotka Brydzińska, do której nawet p. Zajączkowski zwracał się z wielkim uszanowaniem. My dzieci, mogliśmy wstać od stołu, tylko w tym wypadku, gdy najpierw udzielili nam pozwolenia Rodzice, ale jeszcze oni gestem lub pytaniem prosili panią Brydzińską, zwaną przez bliższych „Ciocią Lolą”, o zgodę. „Ciocia Lola” ruchem dłoni lub skinieniem głową naturalnie udzielała takowej.

Panowie grywali tam w brydża, a panie rozmawiały szczególnie o prowadzeniu domu i robieniu wszelkich przetworów, bowiem p. Zajączkowska, zwana popularnie przez prawie wszystkich tam będących „Ciocią Isią”, znana była jako świetna gospodyni, czyli pani domu.

Wszystko o czym pisałem wyżej, dotyczyło okresów z przed I lub drugiej wojny światowej. Obecnie kończąc chcę podać coś co było po 1945 r.

Jeden z pięciu, o czym było wyżej pisane, mająteczków, niżej 50 ha należał do państwa Adamczewskich. Był to nawet nie tak stary, ale utrzymany w dawnym stylu dworeczek. Cztery pokoje na parterze, plus ogromna kuchnia, przedpokój, spiżarnia i korytarzyk, a na wysokim poddaszu dwa pokoje. Wejścia były dwa: do kuchni oraz przez śliczny dość duży ganek do przedpokoju i dalej.

W latach sześćdziesiątych, o których piszę, mieszkała tam właścicielka p. Adamczewska, wdowa, i latem tzw. letnicy oraz „dojazdowa” rodzina. Byli na bardzo wysokim poziomie intelektualnym. Prof. Górnicki podobno krótko był ministrem zdrowia, a potem rektorem A.M. w Warszawie. Bywał tam z żoną, docentem i córkami, z których jedna była szereg lat jako naukowiec w Chinach. Prof. był świetnym interlokutorem, a poza tym jeździł dużo po świecie, a więc jego opowieści były wspaniałe.

W tym dworku nie było elektryczności, więc przy lampie naftowej wiodło się długie „nocne Polaków rozmowy” na wszelkie tematy, przy lampce wina. Pod olbrzymią kuchnią rozpalało się szczypkami, a potem dorzucano całe polana drew. Ale to nie wszystko. Pod pokojem zajmowanym przez nas mieszkał pod podłogą dudek. To śliczny ptaszek z czubkiem. Rankiem wpadał bezbłędnym lotem do małego otworu w podmurówce. Słysząc było także jak odzywały się jego pisklaki.

Gdy zapadała około 22-giej cisza nocna, wymykaliśmy się z żoną przez okno (sąsiednie pokoje tarasowały inne wyjścia) na ganek, gdzie stały wyplatane rafią fotele i syciliśmy się ciszą i romantyzmem. Pomagał stuletni świerk przed gankiem i pohukiwanie sowy oraz śmiech puszczyków. A także wylazący nad drzewami księżyc.

Ale to było pół wieku temu.



Majątek Siemień

Majątek w Siemieniu opiszę w oparciu o pytania jakie otrzymałem od Ośrodka „Brama Grodzka - Teatr NN” w Lublinie

Funkcjonowanie majątków w okresie dwudziestolecia międzywojennego

Jeśli chodzi o służbę, jak to się kiedyś mawiało, to szczegóły są następujące. W Siemieniu nie było tzw. rządcy, więc jakby głową całej służby był tzw. karbowy. Ja pamiętam dwóch. W początkach lat trzydziestych był nim niejaki Brzozowski, imienia nie pamiętam. Następnie był Jan Antoniuk. W opowiadaniu „Siemień, moja miłość” w tomie nr 8 Rocznika Radzyńskiego z roku 2010 zamieściłem podpunkt „Ludzie”, ale poniosła mnie pasja do Siemienia oraz wszystkich z nim związanych zjawisk i właśnie w tym punkcie podawałem dane dotyczące: stajen, obory, stodoły, spichlerza, koni i krów. Jest tam masa szczegółów. Pisałem tam o plebani i księżach.

Praca

Dodam natomiast trochę szczegółów o tzw. „zawodach”. Byli fornale i ich czeladnicy, był pastuch i dójki, był też stróż, który w zawodzie miał nie tylko strzeżenie nocą wszystkich dworów: „Dołek”, „Górka”, „Domek”. Ponieważ w Siemieniu były trzy jakby „dwory”, a więc ten stróż winien dowieźć do nich wodę w beczce jednokonnej na kołach, narąbać też trochę opału, ale raczej podpałki, czyli smolonych małych szczypeczek. Pilnowanie więc nie było jego wyłącznym zawodem. Jeśli jest o ogrzewaniu tych naszych mieszkań – dworków, ponieważ w Siemieniu nie było lasów, ogrzewanie opierało się na torfie, tymże właśnie wyschniętym materiałem paliło się w piecach i pod kuchniami.

Należy podkreślić, że w Siemieniu z racji rybołówstwa, byli oddzielni pracownicy z tą częścią majątku związani. O tych ludziach też pisałem w „Siemień moja miłość”. Wymienię jednak ich nazwiska. W „rybakówce”, czyli domu stojącym jeszcze na grobli, mieszkali Rutkowski i Duszak. Natomiast na tzw. Ostrowiku, czyli tam gdzie wpływała Tyśmienica do stawu, mieszkali też dwaj: Król i Mościcki.

Do zajęć robotników rolnych należały m.in. sianokosy. W Siemieniu było bardzo dużo łąk, a więc po za żniwami na polach, czyli tam gdzie rosło zboże, przeważnie żyto, trochę owsa dla koni i czasem jęczmień, były duże obszary łąk. Sianokosy, to była łatwiejsza czynność niż koszenie zbóż. Zresztą te ostatnie były cięte przeważnie żniwiarkami. Wiązałek u nas nie było. Natomiast koszenie traw odbywało się przeważnie kosami. Było to o wiele łatwiejsze do cięcia niż słoma. Ale po sianokosach trzeba tę trawę roztrząsać, aby wyschła. Potem grabić już suche siano i jak się to nazywało „kopić”, czyli robić z tej już suchej trawy na pokosach takie małe jakby stożki. Następnie część siana była zwożona do stodoły, ale resztę należało stożyć, czyli te małe kupeczki zbierać i zwozić na jedno miejsce i ustawiać już duży stóg. Aby powstał stóg umieszczało się taki wielki drąg na środku podstoża, wokół niego układało się równo przywiezione siano. Czasem, gdy zapowiadała się słotna pogoda

jesienna, czy śnieżna zima, robiono takie jakby czapki, czasem ze słomy, aby stóg nie zamókł, czy topniejący śnieg nie zawilgocił całego stogu.

Żydzi związani z majątkiem w Siemieniu

Żydzi bywali dość rzadko i rozmawiało się z nimi w kuchni. Ale tu był wyjątek - Żyd z Parczewa, Lejba Mandelkern, jak się słyszano bardzo bogaty. Miał on podobno prywatny, jakby bank dla Żydów w Parczewie. Kupował z Siemienia łowione jesienią ryby, przeważnie karpie i wywoził je do Warszawy, szczególnie na Boże Narodzenie. Ten Żyd przybywał do Siemienia latem i konferował z wujem Jerzym Czarkowskim prowadzącym gospodarstwo rybne lub z ciotką Augustą Zaorską, plenipotentką całej rodziny, odnośnie ilości przypuszczalnie złowionych ryb i ich ceny. Lejba Mandelkern wpłacał zaliczkę na te ryby. To był główny dochód dla Siemienia. Naturalnie z tym Żydem prowadzono rozmowy bardzo kulturalnie w jadalni lub gabinecie ciotki Augusty Zaorskiej.

Dokładnie nie wiem, ale chyba wchodził przez ganek, czyli głównym wejściem. Wiem i sam widziałem, jak mój ojciec prowadzący w majątku księgowość rozmawiał czasem z bratem tego Żyda – Manyssem, u nas w Dworku, w jadalnym pokoju. Najbogatszy z tej rodziny Żyd Lejba chodził w chałacie, lecz nie czarnego koloru jak wszyscy Żydzi, tylko jakimś takim jakby niebieskawym, ale w jarmułce. Zaś jego brat, który zajmował się skupowaniem zbóż, był zawsze ubrany w elegancki garnitur, jak katolik, i nosił, o ile pamiętam, zwykły kapelusz. Kiedyś na wesele żydowskie tegoż Manysa był zaproszony mój Ojciec. Opowiadał nam potem, że tam tańczyli Żydzi z Żydami, a Żydówki z Żydówkami.

W Siemieniu cały sad dzierżawił inny Żyd z Czemiernik. Nazywano go Suchar, ale tak naprawdę miał inne nazwisko. Nie wiem jakie.

Zwierzęta we dworze

Wspomniałem wyżej, że zwierzęta w ogóle we dworach były lubiane. Ale tu podaje szczegóły, dlatego, że przecież w Siemieniu były jakby trzy dwory: dwór główny – zwany „Dołkiem”, taki stary budynek dworski, zwany „Górką” i nasz przerobiony na dworek, z dużego, starego, stuletniego czworaka, zwany „Domkiem”. W każdym z nich była inna rodzina. To byli współwłaściciele tego majątku.

A więc we dworze, czyli u ciotki Augusty Zaorskiej, były podobno trzy czy cztery psy, takie podwórzowe, czyli w dzień na łańcuchu, a nocą spuszczone. Tego ja nie pamiętam, podaję to tylko ze słyszenia. Natomiast u Czarkowskich, na „Górcie” były dwa psy - wyżeł noszący imię „Raptus” i drugi zwany „Mikrus”. To był jakiś mieszaniec ostrowłosa. U nas, czyli u Bielskich w „Domku” były po kolei cztery psy: Ciapek – zwykły kundel, ale bardzo mądry, ciemny z podpalanym brzuchem. Następny po nim Asek – taki trochę foksteriotowaty, dalej Abek, nie bardzo wiadomo jakiej rasy, ale za to bardzo miły. I ostatni - Żuczek. Wymieniam je po kolei, ponieważ trzy pierwsze musiały po pewnym czasie być zabite z uwagi na chorobę - wściekliznę. Przed wojną nie było szczepień dla psów, choroba panowała raczej szeroko. Było nam zawsze bardzo przykro.

Niestety ostatni - Żuczek, gdy nas usunięto z majątku, pozostał we dworze tam gdzie zamieszkali okupanci i w czasie żniw wpadł pod żniwiarkę, i ucięło mu nogi. Niemiec Deparade zlitował się nad nim i zastrzelił go.

Nas nie było stać na psa w czasie wojny i od tego przykrego wypadku postanowiliśmy nie mieć piesków. Mieliśmy w Siemieniu za to koty. Były dwa: „Mrunia”, kotka z prawie biała z szarymi pasemkami sierści i „Maciek”, taki zwykły stary kot, trochę rudy. „Mrunia” jadła ładnie z miseczki, a „Maciek” początkowo stał, potem siadał, a na końcu kładł się przy misce i tak jadł.

O zwierzętach takich jak we wszystkich dworach, czyli koniach i krowach pisałem w „Siemień moja miłość”. Ale podam ogólnikowo. Krów było chyba około 40 sztuk, a koni chyba 22 sztuki fornalskich i 3 tzw. cugowe. Na początku naszego mieszkania w Siemieniu były jeszcze źrebaki. Bezwzględnie należy podać, że o wszystkie zwierzęta w Siemieniu bardzo dbano, zarówno co do karmienia, jak też obchodzenia się z nimi. Z tym, że cugowe były czyszczone szczotką i zgrzebłem, a fornalskie, chyba raczej nie. Ale o biciu zwierząt nie było mowy. Krowy jako zwierzęta przeżuujące były wyprowadzane codziennie na pastwisko. Winny mieć także dużo paszy w żłobie, aby potem położyć się i zjedzone siano czy inne pasze, mogły wrócić do przeżucia. Natomiast odchody ich, zwane uprzednio łajnem, powinny być usuwane, ale nie wodą, jak to obecnie czasem bywa, lecz winno być pod nimi prześcielone czystą słomą targaną. W ten prosty sposób powstaje dobry nawóz na pola i krowa jest sucha, zarówno na brzuchu, jak i na bokach. Zupełnie inaczej jest z końmi, one też winny być dobrze karmione, ale ponieważ nie są przeżuwaczami, winny mieć stale nad żłobem drabinki lub takie półkoszki z dobrym sianem, które bardzo lubią skubać. Podstawową karmą dla koni jest owies.

Rozrywka

Pisałem o tym dość szeroko w „Siemień moja miłość”, więc nie chcę się tu powtarzać. Tutaj dodam, że głównymi zabawami było kąpanie się w stawie, na tzw. „piaskach”, czyli na brzegu od strony wsi Miłków. Kiedyś przyjechał do Siemienia jakiś znajomy wuja Augustowicza z poznańskiego. W tamtych czasach był on chyba starostą w Lubartowie. Przyjechał z szoferem, i kiedy dorośli zabawiali się przy stole, ten pan starosta pozwolił szoferowi pojeździć z nami, czyli dziećmi, po okolicy. Jeździliśmy do Glinnego Stoku, do Zaorskich, gdzie były dzieci. Kilka razy urządzono wspólne imieniny na 26 lipca, ponieważ w naszym towarzystwie były trzy Hanki: moja siostra, kuzynka Augustowiczówna (do rodziny do Siemienia przyjeżdżała na całe lato: lipiec i sierpień), też Hanna i córeczka wujostwa Zaorskich, też Hania. Dorośli raczej bawili się mniej, ale my dzieci, przez całe wakacje używaliśmy wolności od szkolnych obowiązków. Naturalnie łapaliśmy ryby na wędki i siatki, tzw. podrywki. Ale główną zabawą były kąpiele.

Park przy dworze siemieńskim był ogromny. Rosły wspaniałe drzewa: kasztany, jesiony, klony, świerki i były nawet w tym parku trzy grusze, zwane pannami.

W ogóle prawie co dzień pływaliśmy łódkami, właśnie na te „piaski”, a więc prawie kilometr. Czasami płynęliśmy nawet na tzw. Ostrowik, czyli tam gdzie przez służę wpływała do wielkiego stawu rzeka Tyśmienica. A więc to było prawie 3 km. Brało się zawsze z domów jedzenie i picie, ale żadnych soków czy płynów robionych poza domem, lecz właśnie domowe. Park miał wielki tzw. gazon, przez który przepływała rowkiem woda do sadzawki, tzw. pałacowej. Robiliśmy mostki na tym rowku i puszczaliśmy robione przez nas łódeczki, czy większe statki z kory sosnowej.

Odnosnie zabaw zimowych i trochę letnich odsyłam czytelników do „Siemień moja miłość cz. II” w roczniku Radzyńskim tom 11 tok 2013.

Zimą jeździłem na łyżwach, początkowo drewnianych i mających wpuszczoną tzw. żelazną bednarkę zamiast ostrza. Potem miałem już łyżwy żelazne. Były one przykręcane do butów o grubej podeszwie skórzanej. W podstawie obcasa były zamontowane przez szewca tzw. pastynki z dziurką w środku, gdzie wkładało się łyżwę, mającą taki gruby jakby łąpek gwoźdź. To było główne przyczepienie łyżwy. Na przodzie buta, mniej więcej tu gdzie stopa była najszersza, przykręcało się takimi jakby łąpkami, też naturalnie żelaznymi, do tej grubej podeszwy buta łyżwę. Butów z przytwierdzonymi na stałe łyżwami w tamtych czasach jeszcze nie było. Początkowo te łyżwy były płaskie i dopiero później zaczęto w nich robić jakby rowek z ostrymi brzegami. Było to pomocne, bo łyżwa nie uciekała na boki, lecz trzymała się toru, gdzie chciało się jechać. Małe to rzeczy, a jakże ciekawe od strony przystosowania łyżwy do buta i do trzymania się jej na lodzie. Te pierwsze drewnie łyżwy nazywano kopytkami. Były one przytwierdzone do buta mocnym, grubym sznurkiem, tymi już prawdziwymi łyżwami jeździłem po stawie siemieńskim, sadzawce pałacowej zwanej „jeziórko” lub na takiej sadzawce między naszym „Domkiem” a czworakami. Panienki, jak np. moja siostra nie jeździły w tamtych czasach na łyżwach wcale.

Architektura majątków

Jeśli chodzi o dwór, to w Siemieniu był tak naprawdę jeden, gdzie mieszkała ciotka Augusta Zaorska. W tekście „Siemień, moja miłość” opisany jest cały rozdział o dworach, a więc nie będę się tu powtarzał. Jednak po zjrzeniu do tamtego opisu zauważyłem, że brak jest tam bardzo szczególnej rzeczy. Chodzi mi o to, że w tym dworze „Dołkiem” zwanym, a więc głównym budynku w parku siemieńskim okiennice były nie na zewnątrz budynku, jak to zawsze bywało przy chatach chłopskich, ale były wewnątrz. Wykonane z jasnego, sosnowego drewna, chyba były pociągnięte jakimś lakierem. Składały się z czterech jakby skrzydeł, lekkich, ale zasłaniających całe wielkie okna. Do tego były jeszcze takie jakby zabezpieczenia w postaci dość lekkiej sztaby żelaznej, pomalowanej na czarno. Może nie zwracałem na to szczególnej uwagi, ale wydaje mi się, że w żadnym z w/w dworów takich wewnętrznych okiennic nie było.

Zaznaczam, że dwór był stawiany z inicjatywy mej Babki Józefiny, a pomysł jak ma on wyglądać zależny był od drugiego męża Babki, Wincentego Grodzickiego. W uprzednim dworze, który stał w pobliżu sadzawki pałacowej przydarzył się w rodzinie wypadek z bronią. Na skutek tego postrzału Babka nie chciała mieszkać tam, gdzie zginął Jej syn.

Obecnie nikt poza mną nie zna tego. W wykazie zabytków i określeniu kiedy był stawiany, wymieniono znacznie wcześniejszą datę. Ja mam fotografię z budowy tego obecnego dworu z moją Matką i Jej ojczymem. Naturalnie były pożary, ale częściowe tego już „nowego dworu”, ale on na pewno powstał między 1910 a 1914 rokiem. To nie pierwszy i nie ostatni błąd w wymienionych „zabytkach”.

Następny, bardzo poważny błąd i do tego już zapisany w aktach zabytków „Decyzja w sprawie wpisania dobra kultury do Rejestru Zabytków, data 24 XI 1986 r. Na stronie trzeciej pod poz. „11 lub 12” (cyfra odcięta, jest podana treść): „W okresie międzywojennym dzierzawiony przez Jana Czarkowskiego”.

Błąd polega na tym rzekomym dzierżawcy. Jan Czarkowski syn Zenobii Czarkowskiej, ciotki mojej Matki, spoczywający jako prochy w urnie w naszym rodzinnym grobowcu, nie był nigdy dzierżawcą. Był on urodzony w roku 1912, a więc w okresie międzywojennym stał się pełnoletni w roku 1933 (12+21=33). Ponieważ młodemu 21-letniemu chłopcu nikt nie wydzierżawiłby dużego majątku, jak Siemień ok. 1000 ha. A ponadto znałem go osobiście i wiem, że był zawodowym żołnierzem. Początkowo służył w piechocie, potem w lotnictwie. Ten niezgodny z prawdą dokument przebywa w PSOZ Biała Podlaska.

Poza w/w budynkiem był też bardzo ważny młyn wodny. Data budowy 1899 r. Ten budynek jest do tej pory w Siemieniu, obecnie jest nieczynny. Stoi zaraz za tzw. „zimochowami”, czyli małymi zbiorniczkami wodnymi na złapane w czasie połowów ryby, gdzie czekają one do wywozu poza Siemień. Zaraz przy tym młynie jest droga od budynku Urzędu Gminy do Parczewa. Młyn jest dwupiętrowy z cegły, nie tynkowany. Był napędzany wodą puszczaną przez tzw. „pogródki”, takim jakby kanałem z wielkiego stawu. Jest tam leżąca turbina, bardzo wydajna. Nawet przy niewielkim dopływie wody napędzała bardzo dobrze całe urządzenie młyna. A składało się ono, wymieniając tylko główne urządzenia, np. z: trzy walce do mąki pyłowej, jeden kamień na tzw. „razówkę”, czyli mąkę ciemniejszą. To były dwa wielkie kamienie, chyba około 2 m, a może troszkę mniejszej średnicy. Niższy kamień był nieruchomy, a nad nim był drugi, troszkę lżejszy, który kręcił się mieląc wpuszczone tam żyto. Był jeszcze taki mały tzw. kaszak, który jak wynika z nazwy robił z ziarna np. jęczmienia kaszę. Na piętrze były tzw. „pytle”, czyli sita leżące. Tam odsiewała się mąka z grubszych ziarenek niż pochodząca z walców wstępnego mielenia zboża. Były jeszcze jakieś inne urządzenia, których nie pamiętam. Wszystkie te maszyny były uruchomiane wielkim pasem, grubym chyba 3 cm i długim, tak że sięgał od transmisji w piwnicach młyna, która była znów napędzana przez wielki wał od znajdującej się w wodzie turbiny.

Kuźnia była, ale jeszcze przed I wojną światową. W tamtych czasach panowała epidemia cholery i kowal z żoną zmarli na tę straszną chorobę. Była więc jakby jakaś obawa, że tam mogą być jeszcze przez szereg lat zarazki tej choroby i nikt nie chciał tam ani pracować, ani mieszkać. A kuźnia powinna być w Siemieniu, jeśli zważy się, że w majątku było przeważnie ponad trzydzieści koni.

Stajnie były włączone w jeden ogromny budynek, który mieścił w sobie: wielką stodołę, gdzie były składane zarówno zboża, jak też siano, umieszczone na tzw. „wyskach”, ale też na klepisku. Czasem w tej stodole młóciło się zboże maszyną napędzaną przez pas od tzw. lokomobili. Dalej zaraz za ścianą była stajnia dla koni fornalskich, dalej znów za ścianą była obora, i znów za ścianą była stajnia dla koni cugowych. To był naprawdę olbrzymi budynek. Stoi do tej pory. Nie wiem czy nie został trochę zmniejszony obecnie.

Czworaki - wynikałoby, że tam miały mieszkać tylko cztery rodziny, ale te w Siemieniu były też ogromne. Mieszkań tam był wiele. O ile pamiętam mogło to tam być 16 czy 18 mieszkań. Te mieszkania były bardzo skromne. Przeważnie składały się z sionki i jednego pokoju lub w lepszych, dwu izb. Jeśli były dwie izby, to jedna z nich była kuchnią. Niestety często zamiast podłogi było po prostu klepisko. W szczytach tego bardzo dużego budynku mieszkał karbowy z rodziną, czyli z żoną, córką, zięciem i dwoma wnukami. W drugim szczytzie mieszkał, o ile pamiętam chyba stróż, który miał dużą rodzinę.

Kultura duchowa w dworach ziemiańskich

w tym kontekście koniecznie należy przeczytać „Siemień moja miłość” oraz „Dwie opowieści siemieńskie”. Przecież tam właśnie jest magia i duchowość. Ale gwoli porządku, coś tam jeszcze dodam. A więc w naszych dworach: „Dołku”, „Górcie” i „Domku” były choinki, w każdym z tych domów były inne. U nas, czyli w „Domku”, ponieważ były dzieci: siostra i ja, choinka musiała być dość duża, nie jodłowa, bo takowych drzew w pobliżu Siemienia nie było, lecz zwykła sosienka. Naturalnie ubrana w tzw. łańcuchy robione w domu z kolorowych papierów i słomy. Przeróżne zabaweczki oraz lalki z główkami doklejanymi, prawdziwe świece w lichtarzykach przyczepionych na gałązkach. Te świece czasem spadały i groziło to pożarem domu. Naturalnie śpiewało się kolędy, a dzieci dostawały prezenty, raczej skromne.

Na „Górcie”, ponieważ tam było trzech dorosłych synów, ciotki Zeny Czarkoweskiej, choinka była ubrana we wstęgi biało-czerwone spływające od samej góry, aż do ziemi. We dworze, czyli w „Dołku”, choinka była zawsze, ale maleńka, bez ozdób.

W okresie Bożego Narodzenia chodziły tzw. „Herody”, czyli przedstawienie wykonywane przez młodzież wiejską lub z czworaków, obrazujące w/g nich, co się działo na dworze króla Heroda, gdy narodził się, a może gdy już przybył do Jerozolimy Chrystus. W tym przedstawieniu brało udział około siedmiu czy ośmiu chłopców. Ale jeszcze bywała zabawa, tzw. „Koza”. To był jeden chłopak ukryty pod białą płachtą, beczący i stukający dzieci, które winny mu dać za to jakąś zapłatę.

Tak bywało w okresie zimowym. Ale był jeszcze jeden zwyczaj, nie wiem czy gdzieś indziej praktykowany. W drugim dniu świąt, czyli na św. Szczepana przychodził do nas karbowy odświętnie ubrany i składał życzenia. Naturalnie winno mu być coś za to dać. Zwykle były dawane jakieś pieniądze.

Trzeba tu jeszcze przywołać Zielone Świątki. W tym dniu przynoszono do dworu wielki snop tataraku, który potem bywał rozkładany w pokojach albo jeśli było go dużo, nawet na alejach w naszych „mini parkach”, przy „Domku” lub „Górcie”. Za to też należało coś dać temu, kto przynosił ten snop. Nie wiem czy obecnie ktoś zna piękny zapach świeżego tataraku.

O reszcie „magicznego dworku” warto przeczytać w „Siemień moja miłość”. Tam naprawdę było wiele z poezji nierymowanej, lecz przeżywanej.

Funkcjonowanie majątków w czasie II wojny światowej

Zajmowanie majątków przez okupantów

Należy bezwzględnie wyjaśnić, że przed przybyciem na teren majątku Niemców lub Armii Czerwonej, były początki września 1939 r. Przez Siemień przeciągały się jeszcze w tym okresie wojska polskie. Nawet jak ustalono później, w majątku miał być punkt postoju gen. Kleberga. Czy był on sam, nie jestem pewien, ale w tamtych dniach widziałem nie tylko przechodzące wojsko polskie w grupach lub dość dużych oddziałach, ale też na własne oczy widziałem duży samochód osobowy przed dworem.

Na samym początku września był wydany rozkaz opuszczenia majątku przez wszystkich, najpierw mężczyzn a potem wszystkich mieszkańców. Mój ojciec i najstarszy z synów obecnych w Siemieniu Augustowiczów, naszych kuzynów, mający chyba około 19 lat, wyszli, jak było nakazane - nocą do Lublina. Nie wiem co prawda po co, bo drugi rozkaz o opuszczeniu majątku został wydany przez jakiegoś chyba przypadkowego komendanta, po kilku godzinach. Jak wynika z obecnych opracowań, właśnie w Siemieniu miała być jakaś straszna bitwa. Trzeba wiedzieć, że z Parczewa w kierunku Kocka, gdzie miał nastąpić opór wojsk polskich, wiodła właśnie droga przez Siemień. Dwa mosty w Siemieniu przy stawie zostały zaminowane i potem chyba przedwcześnie wysadzone. Ponieważ był też zaminowany trzeci most na szosie z Parczewa do Lubartowa, wyglądało to na jakieś sensowne działanie wojskowe. Jeden był służą dla całego stawu, przegrodził całkowicie drogi z Parczewa i Siemienia oraz dalej do Kocka. Na moment wysadzania mostów musieliśmy się wszyscy z majątku wynieść, według rozkazu. Pojechaliśmy nocą wozem do wsi Tyśmienica i tam przebywaliśmy chyba dwa czy trzy dni. W tym czasie cała woda ze stawu poszła na łąki i ludzie z pobliskich wsi nie łapali ryb, lecz po prostu grabiami zgarniali je z łąk poza stawem. To była pierwsza nasza majątkowa porażka w czasie wojny.

Któregoś września, czy w początkach października przyszli Niemcy, już nie pamiętam. Wiem, że widziałem dość duży oddział niemieckich żołnierzy, którzy zjawili się chyba nocą w Siemieniu. Potem widziałem jak ci żołnierze zajmowali się myciem przy studni na podwórzu. Moja Mama znająca perfektnie niemiecki rozmawiała np. z oficerem niemieckim, jak długo może chronić skutecznie od deszczu budynek kryty słomą. Co prawda to nie była słoma, lecz trzcina. Ten Niemiec nie mógł wyjść ze zdziwienia, że to może tak skutecznie chronić od deszczu, nawet więcej jak 10 lat. Był bardzo grzeczny i pewnie miał jakieś wiadomości, może praktyczne z rolnictwa.

Potem przyszli Niemcy, też grzecznie, po radio. Mieliśmy takie kryształkowe na słuchawki. Jeden Niemiec zobaczył w bibliotece jakąś książkę w ich języku i do tego to była „Intryga i miłość” F. Schillera. Nie zażądał, lecz spytał czy może ją sobie wziąć. I to było tyle. Następnie majątek został przejęty na tzw. Liegenschaft przez Niemców. Ale takim kierownikiem - treuhenderem był Szwajcar mówiący zupełnie swobodnie po polsku. Ten Sandos zamieszkał we dworze (ciotka Augusta musiała się przenieść do Czarkowskich na „Górkę”). Właściwie nie wtrącał się do zawiadywania majątkiem, a szczególnie rybołówstwem. Przypominam, że na skutek wysadzenia śluzy woda ze stawu łącznie ze wszystkimi rybami poszła do rzeki Tyśmienicy i na łąki. Ten Szwajcar naturalnie postępował według zaleceń niemieckich, ale nie był tak drastyczny, jak to potem opowiadano. Memu Ojcu powiedział, że w starostwie radzyńskim do którego należał Siemień powiedziano: „Bielski muss weg”. Ale pozwolił nam wywieźć prawie wszystkie meble, ubrania, książki i to co było do jedzenia w spiżarni. Mało tego, jeszcze mieszkańcy wsi pomagali nam wywieźć cały zapas torfu, co w okresie zimy było niemal podstawą przeżycia.

W jakimś opracowaniu autor, nie chcę wymieniać jego nazwiska, podał że „przygarnął nas pan Zajączkowski w Juliopolu”. To miała być jakoby moja własna wypowiedź. Jest to absolutna nieprawda. Po pierwsze z Siemienia wyjechaliśmy do wsi Juliopol, gdzie była jedyna szkoła siedmioklasowa przed wojną, nie miało to nic wspólnego z panem Zajączkowskim, właścicielem majątku Żminne. Rzeczywiście były zagadania, gdzie mamy się podziąć. Był przecież zaraz obok nas majątek kuzynów Zaorskich – Glinny Stok. Tam był

duży dwór i na pewno było by nam lepiej. Ale w początkach wojny chodziły głosy, że Niemcy zajmują całkowicie wszystkie majątki i dlatego wyjechaliśmy nie do nich, lecz do państwa Namedyńskich do Juliopola, bo byli to nasi przyjaciele z przed wojny. Ten pan był kierownikiem szkoły.

Dla porównania naszego mieszkania w Siemieniu w „Domku” (4 pokoje, kuchnia, spiżarnia, łazienka, przedpokój, ganek i dwie sionki) z mieszkaniem p. Namedyńskich (jeden, co prawda duży pokój, wspólna mała kuchenka i jedna mała sionka do wejścia), to trudno w ogóle o tym mówić. Ale była u tamtych państwa: przyjaźń i serce. Nas usunięto, bo nie można tego nazwać „wyrzuceniem”, było to chyba na przełomie 1940 i 1941. Była straszna zima, ogromne śniegi i po prostu nie było z czego żyć. Jeśli powiem, że Rodzice sprzedali nawet obrączki, to chyba wystarczy. Podstawą jedzenia była zupa z brukwi i trochę kartofli. Tam poczułem, co znaczy głód. Raz na miesiąc piekło się chleb i wydzielaliśmy sobie małe, dzienne kromki, takie przeciętnie jak jedna dłoń, i to nieduża. To musiało wystarczyć na 30 dni. Mąkę na ten chleb dostawaliśmy z gminy Siemień, jako wysiedleni, ale trzeba było ja jakoś dowieźć. Do tego służyły nam małe saneczki, które dostałem chyba w 1938 roku pod choinkę. Te saneczki ciągnęliśmy z siostrą i Ojcem po śniegu. Odległość od Gminy Siemień do Julipola wynosiła chyba około 6-7 km.

Jesienią 1942 roku Ojciec dostał prace w Parczewie, w przedwojennej s-ni „Rolnik”. Tam pracował jako z-ca gł. księgowego. Ja pracowałem najpierw w drukarni, aby nie wzięli mnie na roboty do Niemiec. Potem jako siła napędowa w dużej mleczarni przy robieniu masła w wielkich bekach i kręceniu tzw. centryfugi, gdzie odwirowywano mleko na śmietanę i mleko chude. Moja siostra musiała też być zatrudniona ze względu na obronę przed wywiezieniem do Niemiec. To była fikcja z tą jej pracą, ale cóż było robić. Po głodzie juliopolskim, w Parczewie, szczególnie gdy byłem już zatrudniony w tej mleczarni, było lepiej. Była ona naturalnie prowadzona przez wysiedlonych z poznańskiego Polaków, ale wyroby musiały być przekazywane dla Niemców. Tam się nam wydawało, że „złapaliśmy Pana Boga za nogi”. Po głodzie w tamtej wsi, było po prostu cudownie. Jeśli czytelnik lubi sobie posmarować chleb czy bułkę masłem, to niech porówna ten „ogromny” przydział z mleczarni. Dziennie dostawaliśmy litr mleka pełnego oraz jedną kostkę, czyli 250 kg masła na tydzień. To musiało nam wystarczyć na 4 osoby naszej rodziny. Innego tłuszczu nie było. Chleb był na kartki, a jedyną osobą zarabiającą w naszej rodzinie był tylko Ojciec. Moje wynagrodzenie w tej mleczarni za to mleko i masło, nie wystarczało na zapłacenie za to. Praktyczną podstawą było możliwość „podkradania” w trakcie pracy, czyli posmarowania trochę masłem kawałka chleba, który zabierałem z domu i też po cichu „podbijania” mleka czy maślanki. Ale to groziło nie tylko „podkradającemu”, ale głównie kierownikowi maślarni, Polakowi, panu Michałowskiemu. On nas uprzedzał o tym i prosił, aby z tym „podbieraniem” kryć się. Ale obawa dla nas i jego była ogromna. Groziło to wywózką do obozu. To był bardzo dobry człowiek. Należy podkreślić, że choć w tej mleczarni pracowało ponad 20 osób, nikt nigdy nie doniósł Niemcom o naszych praktykach dożywiania się. A byli to ludzie z różnych stron kraju, od Warszawy, poprzez poznańskie, aż po góry.

W majątku kuzynów w Glinnym Stoku, którego Niemcy nie przejęli, właściciele mieszkali prawie do końca wojny. To był mały mająteczek. Dopiero bandy rozbójnicze działające pod koniec wojny, zmusiły ich do przeniesienia do Parczewa. Te bandy rabowały co i gdzie się dało. W majątku Zaorskich wytlukli tak „dla zabawy” piękny komplet porcelany

koreckiej. Po za tym bywały wypadki dokonywania gwałtów na młodych kobietach i czasem strzelano do broniących je Polaków.

Duże majątki jak Suchowola, majątek księcia Czetwertyńskiego, czy Milanów hr. Żółtowskich jakoś sobie radziły. Pamiętam, że z jednego majątku Rudzieniec jego administrator pan Jursz znajomy nasz, przywiózł nam 10 kg cukru. Dlatego tak to dobrze zapamiętałem, ponieważ od 1941 roku nie mieliśmy w domu cukru i słodziło się sacharyną.

Funkcjonowanie majątków w okresie PRL-u

W tym okresie historycznym wracam wyłącznie do Siemienia. Rodzice nie chcieli wracać do majątku w Siemieniu, mimo tego, że Niemcy opuszczali nasz teren, a jeszcze „Ruscy” nie weszli. Takie „bezkrólewie” panowało przez pewien czas. Ale moja Babka, Józefina Grodzicka, czyli współwłaścicielka tego majątku razem ze mną przeniosła się do Siemienia. To było dobre posunięcie, bo jeszcze nie było obowiązującego dekretu o reformie rolnej i mogliśmy tak na własną odpowiedzialność zabrać trochę mebli z dworu. Służba dała nam nawet furmankę z końmi do przewiezienia tego do Parczewa. Nikt nam nie bronił, więc nie była to jakby „kradzież”. Słyszałem już po wojnie, że gdy władze komunistyczne zrobiły zebranie i próbowano wskazać kogoś jako zarządcę majątku Siemień, zebrani, zarówno ludzie z majątku, czyli tzw. służba, jak też mieszkańcy wsi wysunęli wuja Jerzego Czarkowskiego. Nie był on formalny właścicielem, a był lubiany z racji słuszności w postępowaniu z ludźmi, i do tego w czasie wojny zajmował się, naturalnie pod nadzorem Niemców, gospodarką rybną. Wuj Jerzy Czarkowski zresztą zrewanżował się Niemcom za pozostawienie go w majątku w ten sposób, że założył i obsługiwał, jako dowódca, komórki AK w samym Siemieniu. Opowiadał mi kiedyś, że właśnie jechał tzw. figielkiem, to taki malutki pojazd jednokonny, i pod siedzeniem były rewolwery dla akowców siemieńskich, a w trakcie tej jazdy jeden z Niemców, chyba Deparade przysiadł się na ten figielek i wuj dowiózł go samego dworu, a sam pojechał dalej.

Naturalnie władze komunistyczne w 1944 r. nie wyraziły zgody na Czarkowskiego. Tym bardziej, że wuj Jerzy był synem jednej ze współwłaścicielek majątku. Podobno drugie głosowanie znów wysunęło wuja Jerzego. Władza komunistyczna poradziła sobie w ten sposób, że wuj został aresztowany i zesłany do obozu w ZSRR, gdzie przebywał parę lat.

Dawne współwłaścicielki, czyli moja Babka Grodzicka, ciotka mej matki, plenipotentka całej rodziny Augusta Zaorska i siostra ich Zenobia Czarkowska zostały wysiedlone do Parczewa.

Mój Ojciec pracował nadal w Parczewie już jako gł. księgowy w tej samej spółdzielni Rolnik, gdzie był zatrudniony podczas wojny. A Babka Grodzicka zamieszkała z nami, z siostrą Augustą Zaorską. W domu zrobiło się: tłoczno, zimno i głodno, bo na wszystkie te osoby pracował tylko mój Ojciec. Ja już od września poszedłem do uruchomionego w Parczewie gimnazjum. Po pewnym czasie zarówno Ciotka Augusta Zaorska, jak też Babka Grodzicka zmarły, ciotka Czarkowska po powrocie syna z ZSRR zamieszkała w Siedlcach, gdzie on znalazł pracę. Nie wiem co tam robił.

Odnosnie parcelacji i nadawania chłopom ziemi nic nie wiem, bo w tym czasie nie miałem żadnych związków z Siemieniem. Chodziłem do gimnazjum i w trybie przyspieszonym zdałem małą maturę w roku 1946.

W Siemieniu większą część majątku stanowiły wody. Ponad 600 ha, więc nie mogło być mowy o dzieleniu tego między chłopów. Włączono je więc do Państwowych Nieruchomości Rolnych. Z zarządzaniem stawami siemieńskimi bywało różnie. Było chyba 12-stu dyrektorów, którzy byli tam mianowani, ale żaden z nich nie potrafił rządzić. Wydaje mi się, że dopiero dwunasty czy trzynasty p. Łagowski okazał się nie tylko dobrym, co bardzo dobrym zarządcą tych włości rybackich. Rozwinął całe gospodarstwo rybne do naprawdę wspaniałych rozmiarów. Znacznie powiększyło się tzw. „lustro wody” i można powiedzieć, że to jest naprawdę wspaniałe obecnie gospodarstwo rybne. O ile wiem założyli tam jakąś spółkę i wiem na pewno, że zamknęli dawne księgi wieczyste majątku Siemień i otworzyli nowe. Nie wiem, kto jest tam wpisany. Biuro tego obiektu znajduje się w dawnym dworze siemieńskim. Zimochowy oraz tzw. „Bobowiska”, czyli stawy za szosą są też w doskonałym stanie.

Wiadomo, że wszyscy lub prawie wszyscy właściciele ziemscy oraz ich spadkobiercy, są „raczej” niezadowoleni. To delikatne określenie. Dekret o reformie rolnej z 1944 r. jest od strony historyczno-prawnej skandalem. Chyba każdy Polak rozumie, że ZSRR był w 1939 r. naszym okrutnym wrogiem, który w czasie wojny i przy szybkości posuwania się armii niemieckiej osłabił możliwość naszej obrony. Bardzo szybko minister spraw zagranicznych ZSRR, Mołotow jesienią 1939 r. ogłosił przez radio na cały świat, że „Państwo Polskie przestało istnieć”. Po zakończeniu tej wojny ZSRR stał się zaborcą naszego kraju. Należy tu wziąć pod uwagę, że jeszcze przed ustaleniem granic wielu Polaków zostało z części wschodnich wysiedlonych i osadzonych gdzieś za Uralem, przeważnie w obozach pracy. Następnie po kilku latach, bo już w 1944 r. tenże zaborca w swojej stolicy, ogłasza akt prawny o reformie rolnej, wydany przez tzw. „Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego”. Nie trzeba być prawnikiem, żeby wiedzieć, że każdy akt prawny może być tylko uchwalony przez organ, który był uprzednio powołany przez odpowiednie władze Kraju, którego dotyczy. Przecież minister kraju, będący zaborcą ogłosił na cały świat, że Polski NIE MA. Nie chciałbym być uznany jako zupełny nieuk, ale według mego rozumu, stworzenie czegoś z niczego, przysługuje tylko Panu Bogu. Gorzej, że ten dekret zostaje uznany jako akt prawny bez żadnych potwierdzeń.

W czasie wojny bywają wydawane zarządzenia chwilowe, bardzo ważne ze względów wojskowo-politycznych. Znamy to z historii, ale żeby taki niby akt prawny był uznawany potem przez np. sądy, a co chyba jeszcze gorzej, przez niektórych przedstawicieli PTZ.

Naturalnie jest zrozumiałe, że należy w pewnych czasach i pewnych stosunkach społeczno-politycznych, wyrównywać nierówności społeczne. Przecież w okresie międzywojennym też były akty dotyczące reformy rolnej.

Wiadomo, że po reformie z 1944 r. wielu ludzi doszło do wysokich stanowisk, do wysokich osiągnięć naukowych, które bez tej reformy nie były by dla nich dostępne, właśnie ze względu statusu majątkowego. Więc pytanie o „reakcję społeczeństwa” jest nie na miejscu. Ale jeśli ktoś z tzw. „elit ziemiańskich” publicznie potrafi pisać „czas wreszcie skończyć z

tymi ziemiańskimi sentymentalnymi wspomnieniami”, to jakoś brzmi to bardzo nie elegancko, mówiąc delikatnie! A naprawdę to jest skandalem.

Niszczenia i grabienie majątków, które miały miejsca w okresie PRL-u, były niszczeniem mienia już nie tylko prywatnego, ale było niszczeniem kultury naszego kraju. Chodzi o dwory i pałace w szczególności. Spójrzmy na historię. Porozumienie rozbiorowe o podziale Polski przez sąsiadów zostało zawarte w 1732 r. Pierwszy rozbiór był dopiero w 1772 r. Drugi w 1793 r., a trzeci w 1795 r. Jakoś dość trudno było tamtym państwowom, ostatecznie zdecydować się na to, aby dzielić nasz kraj na części. A w roku 1939 r. wystarczył jeden pakt Ribbentrop-Mołotow, aby Polskę podzielić, zawojować i w ogóle skreślić z mapy Europy. Dodaję ciekawostkę. W encyklopedii PWN z 1976 r., nie ma ani słowa o tym pakcie. Tenże Ribbentrop mimo tego, że został skazany na karę śmierci i wykonano ją, jest czyściutki jeśli chodzi o podbój Polski i pakt z Mołotowem.

Dość ciekawa jest okoliczność, że ziemianom mającym jakieś swoje wartości majątkowe po tamtej stronie granicy, czyli za Bugiem są płacone pewne kwoty i podobno już nawet trzeci raz wzywają takich spadkobierców do sprecyzowania czego chcą i ile warte były ich majątki. Widać z tego, że Polacy z prawej strony Buga są lepsi, niż ci którzy są po lewej. Należało by zapytać chyba Trybunału Konstytucyjnego, jak to jest możliwe, aby jedni obywatele tego samego państwa byli lepsi, a drudzy gorsi?

„Walka ziemian o odzyskanie dóbr”

Odpowiedź na powyższe zagadnienie jest bardzo trudna dla przedstawiciela potomków byłych ziemian. Zastrzegam się, że nie znam działań PTZ poza woj. lubelskim, ale tu u nas jest delikatnie mówiąc „nieudolne”.

W roku 2012 zapoznałem się tekstem Uchwały Z-du Gł. PTZ z dnia 8 IV 2011. W Uchwale poruszane były ważne i słuszne kwestie. Zwracałem tylko uwagę, że nie należy prosić Sąd Najwyższy, lecz wystąpić do Trybunału Konstytucyjnego o działanie interpretacyjne dekretu o reformie rolnej. Popierałem myśl ustawy i prosiłem o dalsze działanie w tej sprawie.

Obecnie w kwartalniku „Wiadomości Ziemiańskie” nr 59 jesień 2014 p. Prezes Schirmer pisze, że „...Trzy najwyższe organy władzy sądowej stoją na całkowicie rozbieżnych stanowiskach...”. Czyż nie ma na to rady? Bardzo dobrze, że wreszcie Z-ąd Gł. jest wspomagany przez zawodowego prawnika. W numerze WZ 58 lato 2014 są bardzo ciekawe, aktualne wiadomości dotyczące zagadnień ziemiańskich. Następne numery są też opatrzone poważnymi wypowiedziami i uwagami. Ale czy trzeba było czekać aż 70 lat, żeby coś się w tej materii ruszyło? Kwartalnik „Wiadomości Ziemiańskie” należy przyznać jest bardzo ładnym pismem, o szerokim widnokręgu z dawnych lat, i o tym co się dzieje obecnie w grupie dawnych posiadaczy ziemskich. Piękna jest też strona fotograficzna tego pisma. Nie mniej jeśli chodzi o próby jakiegoś stanowiska odnośnie dekretu z 1944 r. nie można powiedzieć, aby coś się zmieniło po 1989 roku. Tymczasem większość krajów będących pod dyktandem ZSRR potrafiły tę kwestię załatwić jeszcze przed rokiem 2000.

Może już naprawdę powonieniem skończyć, ale przed kilkoma dniami wpadł mi w ręce artykuł genialnego filmowca K. Kieślowskiego (Dekalog). Porównuje on tam komunizm do straszliwej choroby Aids. Uważał, że ten kierunek polityczny to taka straszna

zaraza. Och panie Krzysztofie to strasznie gorsze. Po komunizmie nie umiera się, lecz właśnie żyje dobrze, bogato i ma się perspektywy na przyszłość w naszym kraju...
 Zalecam przeczytać cały artykuł pt. „Raj utracony” str. 23-27 w „Wiadomościach Ziemiańskich” nr 61 z roku 2015.



Przy ganku „Górki”

Siedzą od lewej: Jaś Czarkowski z Hanią Bielską na kolanie, Janina Bielska z Mietkiem, Ciotka Czarkowska i jej znajoma. Stoją: Andrzej Czarkowski - malarz, pani Gniot (żona robiącego to zdjęcie), Jerzy Czarkowski, zajmujący się rybołówstwem w Siemieniu.





Janina Bielska – Matka autora z pieskiem Ciapkiem, Miecio Bielski na koniu, Hania Bielska z lalką Kryśią.



Janina Bielska na koniu



Widok stawu siemieńskiego przed wojną i obecnie



Na śluzie wejściowej do Wielkiego Stawu – autor M. Bielski



Na śluzie spustowej z Wielkiego Stawu – autor M. Bielski

DRAZGOW.

Przed pół wiekiem, nad rzeką, stał dwór modrzewiowy,
Szybł szumnie przez sąsiedów, "Pałacem" nazwany,
Chyliły nad nim drzewa, swe staletnie głowy,
A po parku dostojnie kroczyły bociany....
Przed pół wiekiem, ot w taki jak dziś- dzień lipcowy, y,
Małej czarnej dziewczynki, radosne okrzyki,
Udbijały się echem o dwór modrzewiowy,
Płonęło skażące w trawie błękitne króliki.
Przed pół wiekiem, tu było tak ciepło i jasno,
Jak być mogło jedynie, w staropolskim dworze....
Gdzie nawet rezydentom, nie było za ciemno,
W serdecznej atmosferze, w każdej sypialni porze....
.....
Po pół wieku, dziewczynkę w starszą zmieniono,
Los kapryśny tu przywiózł, jak mistrz, liść strącony.... ..
Lecz mają rację ludzie, co twierdzą, że panie,
Nie trzeba wracać nigdy w swe rodzinne strony.....
Bo naprawdę, nie żyję nigdy i nikomu,
By poszukać kiedyś w duszy, tak boleśny zamek,
Ujrzałyś minst ścian białych, rodzinnego domu --
Niktę ślad... parę cegieł tak swany fundament....
A prócz tego -- nie więcej.... "Ni domu, ni słowa".... ..
Ami jednego drzewa a pozostałego parku.....
.....
O, naprawdę i nie żyję nigdy i nikomu,
By poszukać pastkę grobu, wśród sypialni jarmarka.....
.....

Sobieszyca 11/ VII 1957 r.

H.A.

/Helina Augustowicz./



Seweryna Ginczelewska z Haliną, najmłodszą córką